

# Stado ogierów w Drogomyślu cz. 2 – Zawierucha wojenna

**Edward Tarkowski**

*Elegancy panowie w muszkach i irchowych rękawiczkach, przypominający angielskich lordów, masztalerze kochający swoje konie, piękne angloaraby i przedwojenna stadnina. W zeszłym numerze przedstawiliśmy pierwszą część wspomnień ze stadniny w Drogomyślu, tym razem poznamy losy stada podczas zawieruchy wojennej opowiedziane barwnym językiem pana Edwarda Tarkowskiego. Tulaczkę koni uciekających przed frontem wschodnim. Te tragiczne wydarzenia widziane oczami młodego człowieka nabierają szczególnego wymiaru niezwyklej przygody.*

W latach 30-tych Stado liczyło około 200 ogierów różnych szlachejnych ras i maści. Tę ilość koni trzymano w trzech stajniach. Dwie były długie, jedna krótka i nazywano ją Pajta. W tej krótkiej stajni było tylko kilka ogierów, a wśród nich stały tam dwa potężne zimnokrwiste „belgi”. Były to kolosy o niebywałej sile. Pamiętam, że ten najsilniejszy nazywał się Adons. Do ogromnego wozu-platformy zaprzęgano je tylko w pojedynkę.



Władysław Tarkowski, ojciec autora artykułu

Do szkoły w Drogomyślu przyjęto mnie gdy miałem 6 lat. Pamiętam dobrze kolegę, z którym siedziałem w jednej ławce. Był to syn innego masztalera, Ferdynand Matysik - dziś wrocławski aktor teatralny i filmowy. Kiedy tylko nauczyłem się składać literki i czytać proste słowa, wykorzystałem tę umiejętność, aby dowiedzieć się co napisano na niewielkich tabliczkach, umieszczonych na słupach przy boksach ogierów. Odczytywałem ich nazwy, rasy, rok urodzenia, wysokość w kłębie i obwód nadpęcia, a także imiona ich rodziców. Niektóre nazwy w pierwszym członie powtarzały się, informując zarazem o rodowodzie i rasie konia np. Kiss-Gidran, albo Furioso-Uno, jeszcze inne Nonius-Domino. Inne nazwy były jednowyrazowe i brzmiały bardziej swojsko. Najważniejsza informacja na tabliczce dotyczyła rasy ogiera. Jeśli mnie pamięć nie myli, w Stadzie przeważały wówczas anglo-araby. Ale były tam także ogiery ras węgierskich i niemieckich. Te ostatnie nazywano holsztynami, hanowerami, czy Oldenburgami. Były to ogiery silne, masywnej budowy. Wydaje mi się, że były wśród nich także pojedyncze ogiery rasy lipicańskiej - piękne, siwej maści, biorące udział w „hiszpańskiej szkole jazdy”.

Naukę rajtowania, bo takusię to u nas w Drogomyślu nazywało, rozpocząłem na leciwym siwku.

Stary ogier poruszał się jedynie stępą, prowadzony na lonży przez mojego ojca. Wcale nie miał ochoty do przejścia w kłus. Zresztą mimo kurczowego trzymania się grzywy ześlizgiwałem się z jego grzbietu to na jedną, to na drugą stronę, bo moje nóżki były za krótkie i nie mogłem nimi skutecznie zacisnąć potężnego tułowia starego siwka. Ta sztuka powiodła mi się kilka lat później, kiedy podrosłem, a moje nogi były na tyle długie, że stopy mogłem już pewnie wepchnąć w strzeminona.

## LANDGESTUT DRASCHEHENDORF

Wybuchła wojna, a wraz z nią skończyły się moje dziecinne lata w Drogomyślu. Skończyły się raz na zawsze nasze beztraskie zabawy, kiedy huściliśmy się na dyszlach, łamiąc je czasem. Skończyły się także wesole jazdy na wrotach niejednej szopy, których zawiasy straszliwie skrzypiały, a nam ta muzyka sprawiała największą uciechę. Skończyły się też polowania na wróble, które wyłapywaliśmy zaczajeni przy stajennych oknach. Załadowaliśmy cały nasz dobytek rodzinny na jeden wóz, zwolniliśmy mieszkanie nad stajniami i przeprowadziliśmy się do własnego domku w Ochabach. Odtąd mój ojciec dojeżdżał z Ochab do pracy na rowerze. Ale Stadem zarządzał już inny pan, był nim niemiecki arystokrata mjr Heinz Brandts. Pamiętam dobrze ten dzień, kiedy go zobaczyłem i usłyszałem po raz pierwszy. Niemcy przejęli Stado pod koniec października 1939 r. Nie byli to cywile, lecz grupa żołnierzy w mundurach - chyba także kawalerzyści. Przewodził im wyniosły i krzykliwy oficer w randze majora. Po

Stadzie szybko rozeszła się wieść, że ten paradny, wręcz obrazkowy, pruski oficer nazywa się Brandts, czy nawet von Brandts. Ale ten herbowy tytuł niewiele polskim masztalerzom mówił i był im obojętny.

Stado przemianowano na Herres Landgestüt Draschendorf, a nazwa ta wyraźnie sugerowała, że konie i masztalerze pozostają pod niemieckim zarządem wojskowym.

Nowy pan i władca zabrał się natychmiast do reorganizacji Stada. Przystąpił do niej z typowo niemiecką konsekwencją i pedanterią. Nie był dyletantem, lecz doświadczonym znawcą koni. Do pomocy dobrał sobie dwóch wojskowych koniuszych w randze oberfeldfebli, do których masztalerze zwracali się: Herr Oberwachmeister. Jeden z nich nazywał się Decke, drugi Wizisk. Ten Decke chodził kaczym krokiem, darł się o byle co na masztalerzy, ale raczej tylko udawał, bo został rozszyfrowany, że się tak wydziera tylko dla fasonu. Natomiast Wizisk był spokojnym, dobrym człowiekiem - nie słyszałem, aby kiedykolwiek pokrzykiwał na masztalerzy. Podkoniuszych wyznaczono spośród byłych polskich masztalerzy, którzy znali język niemiecki. Funkcje te otrzymali - o ile dobrze pamiętam - Kujawski, Filipiak i Jędrysik. W zamczku, gdzie mieściła się m.in. kancelaria Stada, urzędował Oberzahlmeister, czyli starszy płatnik w randze kapitana. Taki dobrotliwy grubasek, nie miał nawet typowej postury niemieckiego oficera.

Załogę Stada zmontowano głównie z dawnych miejscowych masztalerzy. W tej grupie znaleźli się także masztalerze, których los wojenny zapędził do Drogomyśla z innych polskich stad i stadnin. Masztalerzom, którzy nie chcieli pozostać w Drogomyślu, major załatwił przeprowadzkę do innego Stada znajdującego się w Generalnej Gubernii. Nie było przymusu kto chciał, ten wyjechał, a kto nie chciał - pozostał w Drogomyślu. Wśród wszystkich masztalerzy, tych miejscowych i tych przyjezdnych, licznie przeważali Polacy.

Na samym początku okupacji pracowali w Drogomyślu także żołnierze niemieccy. Było ich zaledwie kilku i prawie wszyscy mówili po czesku. Zapewne byli to Niemcy z Sudetów - jeden z nich nazywał się Juchelka. Po jakimś czasie Brandts oddalił ze Stada tych wojskowych, pozostawiając w nim tylko dwóch koniuszych i płatnika. Oni do końca nosili mundury wehrmachtu.

W ciągu kolejnych lat okazało się, że ten pozornie surowy i nieprzystępny Niemiec w mundurze majora wcale nie dbał o to, aby jego masztalerze deklarowali się jako sympatycy Niemiec i furera. A już w ogóle nie było w Stadzie czegoś takiego jak małpowanie hitlerowskiego pozdrowienia z podnoszeniem ręki. Masztalerze narodowości polskiej czuli się dalej Polakami i nie musieli tego pochodzenia ukrywać. Mówili między sobą wyłącznie po polsku, od biedy nauczyli się niemieckich słów od koniuszych, słów dotyczących tylko pracy przy ogierach. Sam major nie upokarzał swoich polskich masztalerzy, nie dyskryminował ich, a Stado było przecież w granicach Reichu, gdzie Polakom na każdym kroku okazywano pogardę i wyższość rasy „panów”. I trzeba to powiedzieć wyraźnie, że w tym drogomyskim Stadzie polscy masztalerze znaleźli się w bezpiecznej enklawie, w całkiem niezłych jak na okupację warunkach.

W 1942 r. do załogi Stada dołączyło 12 jeńców wojennych. Byli to Rosjanie skoszarowani w barakach, w Ochabach. Major traktował ich także po ludzku - ogłędnie mówiąc. Poruszali się w obrębie Stada bez wachmana, nosili czyste, porządne mundury jenieckie, nie głodowali, nikt ich nie zmuszał do nadludzkiej harówki i nie urągał im obelżywymi wyzwiskami w rodzaju „verfluchte bolschewiken”. To całkiem znośne życie i niezłe traktowanie zawdzięczali majorowi, człowiekowi oschłemu, ale sprawiedliwemu.

### **PORZĄDKI MAJORA BRANDTSA**

Były w Stadzie rodziny, w których i ojcowie i synowie nosili mundury masztalerzy: Szalowie, Kowalscy, Sajakowie, Dacewiczowie, Dziurawię, Wysłychowie i Sajakowie. Major lubił, gdy zawód masztalerza przechodził z ojca na syna. Mojemu ojcu także zapowiedział, że gdy tylko podrosnę i będę miał 16 lat, to zatrudni mnie przy ogierach. Chyba mu się spodobałem, miał oko na chłopców wysportowanych.

Mijały lata, a major ciągle coś ulepszał w zabudowaniach Stada. Utrzymywał w nim porządek, czystość i swoistą estetykę. A młodzi masztalerze pod okiem majora musieli nie tylko perfekcyjnie obchodzić się z ogierami, pielęgnować je, ale także pobierali naukę powożenia i ujeżdżania. Do sztuki powożenia włączano zaprzęgi: w pojedynkę, parę, czwórkę, a nawet szóstkę koni. Jeźdźcy na końskim grzbiecie

musieli ćwiczyć wołyżerkę, jak w cyrku. Jako małemu chłopcu podobała mi się ta końska edukacja i gapiłem się całymi godzinami jak to robią.

Rodzina Brandtsów mieszkała w Ochabach, na Spalenisku, w dworku po byłym dyrektorze Kajetanowiczu. Majorostwo przeprowadzili się z Berlina do Ochab z całym dobytkiem. Cóż, major nie przewidywał, że za niecałe 5 lat przyjdzie im się stąd ewakuować na zawsze, przy odległej kanonadzie ruskich armat.

Jako wszędobylski, ciekawski miglanc dosyć dobrze poznałem rodzinę majora. Pamiętam jego bardzo ładną i wesołą żonę, syna Friedla i córkę Beatę. Jako dzieci próbowaliśmy się do siebie zbliżyć i początkowo pozwalano nam na wspólne zabawy. Gdy jednak dziatwa majorostwa zaczęła dorastać - odsunięto je od dzieci masztalerzy.

Napisałem, że Brandts zapewnił przez 5 lat wojny skuteczną ochronę polskim masztalerzom. Wszyscy czuli ten ochronny parasol. Major rzeczywiście był nietykalny - jeśli chodzi o policję, gestapo czy inne drakońskie służby porządkowe na Śląsku. Myślę, że chroniły go powiązania z elitami wojskowymi, wśród których nie brakowało generałów. Mało to widziało się wojskowych z czerwonymi lampasami na generalskich portkach, gdy przyjeżdżali do majora w gościnę i dosiadali ogierów? Uganiali się za lisem w „świętego Hubertusa”, ale bywało, że spadali na przeszkodach do błotka jak zwykli śmiertelnicy, brudząc sobie te paradne generalskie mundury.

Jest rzeczą bezsporną, że dzięki zabiegom i staraniom Brandtsa, zwolniony został z obozu koncentracyjnego Kajetan Kajetanowicz, przedwojenny dyrektor Stada. Nie wiem, może to było za mało, może nie była to żadna łaska za „wysadzenie z siodła” byłego dyrektora Stada? Ale o tej zmianie nie oni sami decydowali.

### 15-LETNI MASZTALERZ

W styczniu 1945 roku front ruski, jak go tu nazywano, zaczął się zbliżać do Ziemi Cieszyńskiej. Wraz z nim zbliżał się nieuchronny koniec Heeres Landgestüt, pod dowództwem majora Brandtsa. Major zamierzał wyprowadzić konie ze strefy zagrożenia frontowego i uczynił to. Może za późno? Ewakuował Stado na zachód w dwóch rzutach. Ewakuacja ta była dla mnie jako dla małego chłopca wielką przygodą. W kolumnie jechałem na starym arabie (berberze) z prawdziwą fantazją 15 latka, nie zdając sobie sprawy z powagi zagrożenia, mając za plecami, depczących nam po piętach Ruskich. Byliśmy przecież jako malsztalerze umundurowani i chociaż z wyglądu przypominaliśmy wojaków Szwejków, nasi oswobodziciele zachodzili w głowę do jakiej formacji wojskowej mają nas zaliczyć i czy czasami nie wziąć w pleń? Mój Berber nazywał się Dakar. Jakiś narwany ruski żołdat wyrwał mi cugle z rąk, zabrał Dakara i próbował go dosiąść, co mu się udało, ale zaraz z niego spadł. Nie będę opisywał trasy ewakuacji, ale jedna z nich była tragiczna. Kolumna koni dostała się pod bomby amerykańskie w okolicach Drezna. Zginęło dwóch młodych masztalerzy i zabito kilkanaście ogierów. Większa grupa ogierów zatrzymała się na dłużej w stajniach koszar wojskowych w miasteczku Szymberg. Mój ojciec brał udział w ewakuacji i utknął w tym miasteczku na 3,5 miesiąca - do chwili zajęcia ogierów przez Rosjan. Dołączyłem do niego jako 15-letni chłopiec i zostałem przyjęty przez majora do załogi masztalerzy jako najmłodszy z nich. Dali mi mundur, buty z cholewami, dwa ogiery do obsługi, z którymi dawałem sobie całkiem dobrze radę. No trochę - zwłaszcza przy pucowaniu - pomagał mi ojciec, sam mając 4 ogiery do obsługi. Moja miesięczna pensja wynosiła 30 marek.

Pod sam koniec wojny spotkało majora smutne przeżycie. Stracił żonę, która umarła na gorączkę pługową. Rozbita i uciekająca rodzina doznała od losu jeszcze jednej tragedii. Otóż majora Brandtsa, już internowanego, zastrzelił w obozie jeden ze strażników. Była wersja, że dopuścił się tego Czech. Córka majora tę wersję potwierdziła, ale mówiono także, że majora pozbawił życia bezsensownie jakiś pijany żołdat ruski. Tak tragicznie zakończył życie człowiek dobry, choć Niemiec.

Po wielu latach gościła u mnie w Gdyni córka majora, Beata. Mogliśmy sobie spokojnie przemyśleć i ocenić lata, które minęły. Jedno stwierdziliśmy na pewno, że czas i ludzie zmieniają się zawsze. A smutną pustkę po tamtym 5-letnim epizodzie stada wypełniło inne życie, inne nadzieje.